

Nie-Polska komedia

Wielka prowokacja teatralna: trwają uroczystości pogrzebowe mistrza Andrzeja, zdobywcy Oscara, architekta zbiorowej wyobraźni. Przybyli „ostatni wielcy polscy aktorzy”, „minister finansów”, turyści z prowincji...

Teatr

Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej

Monika Strzępka i Paweł Demirski
reż. Monika Strzępka

Teatr Dramatyczny w Walbrzychu,
premiera 22 maja

JOANNA DERKACZEW

Tak zaczyna się spektakl „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego.

W ich spektaklach powiedzenie: „Po trupach” nabiera nowego znaczenia.

Duet dramatycznie-reżyserski z konsekwencją uśmierca kolejne postaci życia publicznego, umieszczając akcję przedstawień to w krematorium, to na cmentarzu, to w koszarach o męczennikach i samobójcach, to znów na stypie, na pogrzebie, w piekle.

W bulwarówce politycznej „Był sobie Polak, Polak, Polak i Diabeł” (Walbrzych 2007, przebieg festiwalu od Seulu po Kraków) wśród wyciąganych z plastikowych worków upiórów znalazł się m.in. pewien miłujący chłopów biskup, pewien generał w ciemnych okularach i o wysokim czole. W „Dziadach. Ekshumacji” (Wrocław 2007) bawili się trupami Mickiewiczowskich bohaterów, w „Sztuce dla dziecka” (Jelenia Góra, 2009) - trupami Leni Riefenstahl, małego powstańca, Harolda Pintera.

W końcu portret polski to portret trumienny. Produkcją „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” twórcy wysyłają do piachu polską kulturę. W całości. Producentów, artystów, publiczność, krytyków, mecenasów, autorytety. I pozamiatane.

Na przysypanej jasniutkimi, drobnymi ziarenkami scenie piętrzą się jak wydmy teatralne fotele. Wśród foteli Miś (Agnieszka Kwietniewska). Miś na miarę naszych możliwości. Tym miśmami Strzępka i Demirski otwierają oczy niedowiarkom. Czy może raczej wierzącym. Wierzącym w legendę o mistrzowskim pokoleniu, które „kiedyś to robiło filmy... o koniach w błocie, złych panach i dobrych zbójcach”. W odpowiedzialność autorytetów. W roztropność publicznych mecenasów. W tezę, że telewizję dla idiotów robi się ze względu na oczekiwanie głupiej publiczności, a nie dlatego, że lepszej się zrobić nie umie. W to, że prywatnie artyści rozmawiają



Miś w spektaklu Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego to wcielenie kultury kulturalnej, czyli bezpiecznej, pluszowej i w dobrym guście. Kultury „prawdziwie polskiej”.
Na zdjęciu: Rafał Kosowski, Mirosława Żak i Agnieszka Kwietniewska

ze sobą o pięknie, prawdzie, miłości i solidarności. W to, że kultura „z naszych pieniędzy” jest „dla nas”.

W to, że o byciu elitą decyduje coś więcej niż obecność na listach zaproszonych na gale, wręczenia, odsłonięcia, bankiety i stypy.

Przerzuty musicalowymi wstawkami spektakl to pełna goryczy, wściekłości i autentycznego rozczarowania przypowieść o tym, jak pewna „sekcja VIP” trafia wspólnie do piekła. Już myśleli, że czeka ich kolejna udana impreza okolicznościowa. Elegancka żałoba. Zakończony wyżerką pogrzeb „architekta zbiorowej wyobraźni”, człowieka roku, człowieka wieku, człowieka z Oscarem, czyli reżysera Andrzeja. Już mieli przygotowane czarne kiecki, przemowy, pieśni à la Rubik. A tu katastrofa-zatrucie. A tu niespodzianka. A tu piekło.

Trafiają do niego aktorzy i politycy, wariaci i uprawiający „turystykę żalobną” prowincjusze. Jest minister finansów, wyznawca „szkoły chicagowskiej” i prywatyzacji kultury (Rafał Kosowski). Jest reżyser Kazimierz (Włodzimierz Dyla), który w przeciwieństwie do reżysera Andrzeja Oscara nie dostał. Historyczna aktorka (Agnieszka Kwietniewska) z ministerialnymi koneksjami uparcie poszerzająca swój „obszar kom-

promitacji”. Zagłodzony kubański dysydent Guillermo Farinas (Daniel Chryc), którego Lech Wałęsa jednak nie przekonał w słynnej telefonicznej rozmowie, że „wszystko będzie dobrze - nasz Sejm już szykuje ustawę przeciw wszelkim represjom na świecie”.

W piekle zdarza się to, czego każdy się boi najbardziej. Artyści rzygają pogrzebowym paszтетem, zamiast mówić ludowi „jak żyć”. Listy protestacyjne nie działają. Armatki wodne nie przybijają z odsieczą przed motłochem, który nie czci swych elit, jak trzeba. Oscary dostaje się za całokształt, nie za konkret. Publiczności przypomina się, że to wszystko dzieje się za jej pieniądze, a krytycy przypominają sobie fragmenty własnych najmniej udanych, najgłupszych lub najbardziej zwichniętych ideologicznie recenzji (wyświetlone na ścianie bądź odczytywane).

Krytyczce Derkaczew z „Gazety Wyborczej” wytknięto nawet ze sceny, że notuje, zamiast oglądać. Piekło, piekło, piekło.

A Miś? Miś to wcielenie kultury kulturalnej, czyli bezpiecznej, pluszowej, „na miejscu” i w dobrym guście. Kultury „prawdziwie polskiej”, która unika brzydkich wyrazów obcego pochodzenia, kręci filmy już nakręcone i łączy, zamiast dzielić. Kostium Misia-Plu-

szaka zakłada Agnieszka Kwietniewska, która jeszcze przed chwilą była postacią Agnieszka, niepokorną doku mentalistką z „Człowieka z marmuru”. Przebrana w plusz bierze się za kinematografię usługową. Uspokoila się. Dojrzała. Będzie kręcić serial o sukcesie sławnych i bogatych. Jak oni zarabiają. Jak oni wracają z pracy. Jak oni elegancko rozmawiają o eleganckich polskich traumach.

Moda na sukces nigdy się przecież nie skończy, a kultura musi na siebie zarobić. Kogo stać, zakłada więc kostium pluszowego misia, aby odgrywać sceny z salonów władzy bez końca, od nowa i jeszcze raz. Piekło.

W abstrakcyjnym, ostrym spektaklu pełno odniesień i komentarzy do dyskusji toczących się wokół zeszłorocznego Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie i projektu „Jeden procent na kulturę”. Wokół „afery pośladowej Szczepkowska vs. Lupa”, pomysłu odwołania imprez kulturalnych w okresie żałoby narodowej. Nie brak złośliwości kierowanych w stronę rozrastającej się w Warszawie sfery teatrów prywatnych. Teatrów zakładanych przez „mistrzowskie pokolenie”, teatrów z komercyjnymi cenami i strefami VIP. Przebijają się echa z „Trendowej” i filmów Wajdy, seriali z ce-

lebrytami i „oratoriów z okazji”. Co jakiś czas ktoś przypomni okrzyk, jakim jeden z widzów przerwał spektakl największej choreografki XX w. Piny Bausch: „Nie jest pani warta ani jednej marki, jaką na panią wydajemy!!!”.

Przed wszystkim jednak wybrzmiewają zadawane sobie przez autorów pytania. Po co to wszystko? Po co być artystą? Po co siedzieć w Walbrzychu, podczas gdy mainstream przyznaje sobie w stolicy medale, zbija kasę na narodowych superprodukcjach? Po co udawać, że mamy coś do powiedzenia spragnionej sensu życia publiczności.

Monika Strzępka i Paweł Demirski to artyści związani z lewicową „Krytyką Polityczną”. Ich poglądy są co najmniej „określone”. W przeciwieństwie do stołecznej „KP” nie mają jednak knajpy w centrum miasta, ale od lat konsekwentnie wygłaszają swoje krytyczne uwagi na mniejszych i większych scenach Dolnego Śląska.

W recenzjach potrzebne są podobno przymiotniki oceniające. Do „Był sobie Andrzej...” pasują tylko te negatywne: niesmaczny, niemiły, nieobiektywny, niesprawiedliwy, niedojrzały, niepolski, nieelitarny. Nieprawdopodobnie potrzebny jako podsumowanie przedziwnego sezonu bezkonkluzywnych kłótni i debat o kulturze. ●